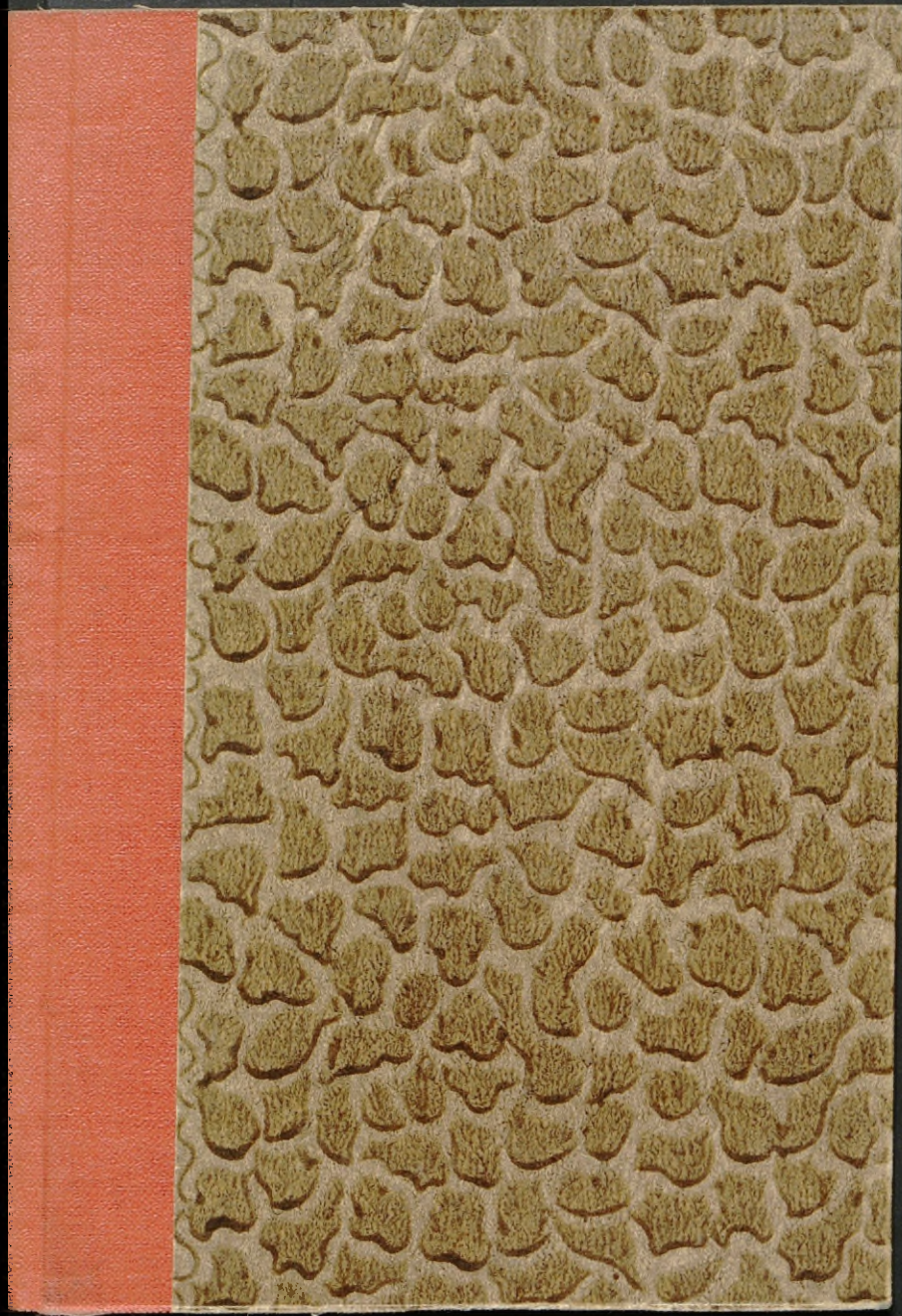
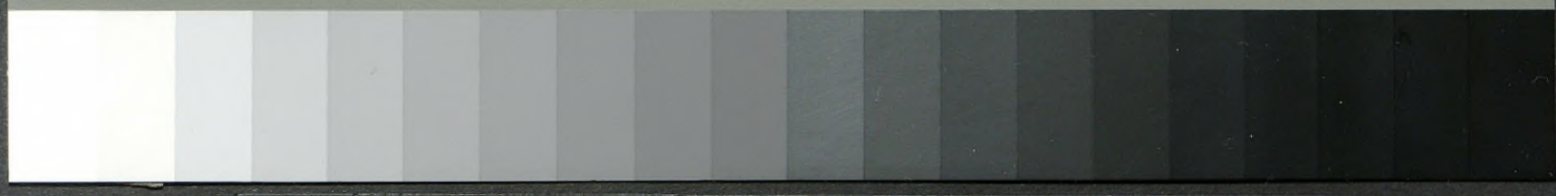




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



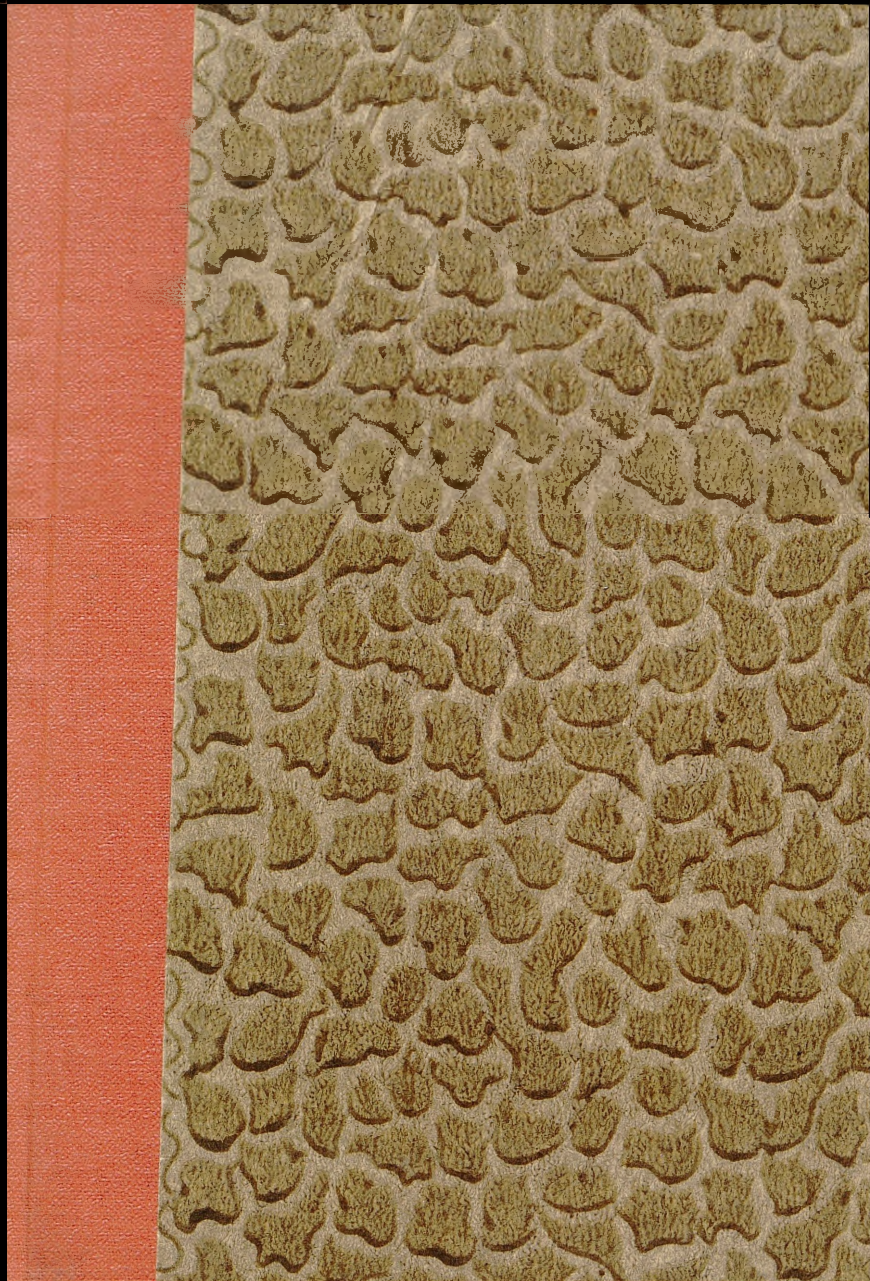
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES-PICTA.COM



28776

P I Z A.

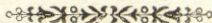
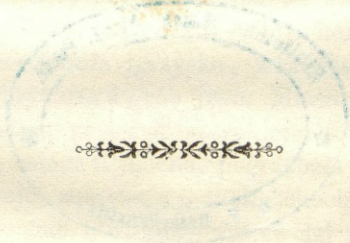
P. M É R Y,

2163

przez W. O.

W Y D A N I E

KAZIMIERZA JÓZEFA TUROWSKIEGO.



SANOK.

NAKŁAD I DRUK KAROLA POLLAKA.

1856.

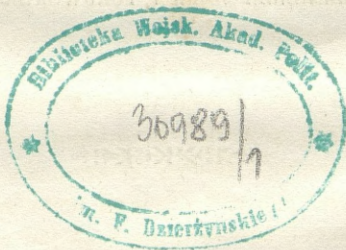
1856. 2070

9 1 2 3 4

F. M. E. R. Y.

Praca W. O.

WYDANIE
KONKURSY I WYKONANIA



KAWOŁ
BIURO I Druk KAWOŁA POLSKA

1938. 2070.

I.

Zdaje się, że Piza była niegdyś przedmieściem Liwurny, przedmieściem strojnem, próżniaczem i artystowskim, co się znużyło wrzawą przekupnictwa, znudziło mozołem kantoru, całym prozaicznym zachodem przemysłu i handlu, i schroniło się na osobność unosząc z sobą swoją katedrę, swoją wieżę pochyłą, chrzcielnicę i swój ementarz święty. Piza wygląda jak miasto zniechęcone światem, co się usunęło na pola. Piza jestto gród pustelniczy; głośną ona była w dziejach, prowadziła handel z narodami, u podnóża swoich pałaców kładła węgielny kamień przystani, jak Olimpia wydawała igrzyska, z krzyżem na piersiach walczyła za Chrystusa i grób jego. Miasta, co takim życiem żyły, świecą zewsząd szerokimi blizny. Piza jest jeszcze jędrna, młoda i mocna, pogrzebała już swoje dzieci zmarłe i swoje ruiny — a jednak, chociaż smętna, jest jeszcze silna i mocno utwierdzona w swojej posadzie. Rzeczy można, że jej pomniki są z bronzu, jak podwoje jej świątyń; nigdzie nie objawia się niemoc starości; długi szereg lat wiek jej tylko wykrywa; zapomnij o latach, a będziesz mniemać, że znajdujesz się w mieście zbudowanem przedwczoraj, co tylko zaludnienia wygląda.

Mieszkańce psują urok miast poezyi i sztuki; lubię Pizę bezludną; zalej Pizę ludem Liwurny, a Piza całą swoją piękność postrada. Ciekawe jest to miasto do widzenia w południe, gdy żadnej żyjącej istoty nie widać po brzegach, po ulicach, po mostach nad Arnem; jestto najosobliwszy z widoków, można się mniemać jedynym mieszkańcem wielkiego grodu. Wszystkie te pałace, co nadbrzeże rzeki wieńczą i w prawo i wlewo ciągną się przed tobą, gdy po marmurowym moście przechodzisz -- cały ten wspaniały wieniec pomników nie wystrzela w powietrze najmniejszym odgłosem, żadnym znakiem życia. Przeszedłszy most wchodzi się w ulicę, gdzie znajduje się trochę świeżości, cokolwiek ruchu, kilka sklepów otwartych wyglądają przychodniów, świecą drobnym napisem, jakie płody handlu złożone w ich wnętrzu. Zaglebiając się dalej w miasto jeszcze to same bezludzie i cisza; niektóre ulice przypominają chmurny i feudalny kształt Akwisgranu w Prowansyi, nadewszystko Piazza dei Cavalieri z swoim posągiem, sztuką budowniczą swego palacu, wysokiem zielenem po brukach. Inne ulice spokojne i odludne, przygotowują jakby do tajemniczego objawienia, niespodzianego zjawiska. W najustronniejszym to zakątku swego obwodu Piza złożyła cztery swoje skarby: sławną wieżę pochylą (campanile), katedrę, chrzcielnicę i campo santo (cmentarz). Około tych niezrównanych pomników żaden gwar nie daje się słyszeć; wznoszą się one na pięknem i zielonem błoniu, zaslanem pierwiosnkami i kwieciami. Nic tkliwszego nad to połączenie katolickich gmachów, całego życia chrześcijanina są one obrazem. Kampanil zdaje się pochylać nad grodem przyzywając nowowierca, chrzcielnica przyjmuje w swe progi, ażeby na chrześcijanina go wynieść, kościół, ażeby uświęcić, campo santo, ażeby mu

ostatnią oddać posługę. Ileż to myśli w tych kamieniach się mieści!

Wyznaję, iż nie przyszło mi na myśl ani mierzyć wysokość tej dzwonnicy ani stwarzać system dla udowodnienia, czy wieża tak umyślnie pochyła była zbudowana, lub pochyliła się skutkiem wstrząśnień ziemi. W ogólności nie wiele mię zajmują wysokość i dzieje pomników; gdy je znam, małą ztąd otrzymuję korzyść dla moich wzruszeń; gdy ich nie znam, niezadaję sobie pracy w dowiedzeniu się o nich na miejscu za pomocą przewodnika lub tłumacza. W przekonaniu, że nie masz ścisłej dokładności w dziejach, wolę raczej ową niepewną tajemnicę, co tyle gruzów otacza, aniżeli sprzeczne rozumowania, co utrzymują w wątpliwości, nieprzekonywując o niczem. Najszacowniejszemi ze wszystkich są dla mnie pomniki wysp wielkonocnych, przynajmniej z temi wyobraźnia ma szerokie pole; podróżnik dobrodusznie wyznaje, iż nie wie, ani z kąd pochodzą, ani czyja wznosiła je ręka.

Wieża Pizy jest zdaje mi się pomnikiem najznajomszym ze wszystkich pomników Europy. Tak często widać ją na rycinach, tak dokładnie, że ujrawszy w Pizie zdaje się tylko znajomość odnawiać. Katedra jest jedna z tych cudownych świątyń, jakimi same tylko Włochy poszczycić się mogą. Nagromadzone są tam bogactwa, jest to wspaniała galerya obrazów oprawionych w marmur, mozaikę, bronz, porfir i złoto. Jakkolwiek by kto był uprzedzony o tym zbytku ozdób, częstokroć od prostoty lichszym, niemożna mu przecież odmówić uwielbienia, odkładając na stronę krytyczny rozbiór sztuki i dobrego smaku. Chrzcielnica stawia sprzeczność z kościołem; z majestatycznej nagości jej murów głęboka myśl się przebija, jest to dom nowowierca, nie powinien więc mieć żadnej

ozdoby, żadnego blasku. Kazalnica jest przepyszna, opiera się na siedmiu symbolicznych kolumnach mających za podstawę potworne zwierzęta, jakie bujna wyobraźnia Pliniusza i Apokalipsy na świat wydała. Na jednym z słupów imię budowniczego wyryte, był to Deoti Salvi; on tej zadziwiającej budowie duszę, barwę, własność nadał. Widziana zewnątrz wydaje się jak kopuła ogromnej katedry; katedra zapadła pod ziemię, kopuła tylko została.

Potem wchodzi się do campo santo; niemasz na całym okręgu ziemi zakątka, coby tak tkliwie przemawiał, campo santo zionie całą poezią śmierci, nicestwa, nieśmiertelności. Jest to prawdziwy cmentarz chrześcijanina; nie razi tam serca owe zaniechanie, które zazwyczaj otacza groby człowieka, słodka i religijna smętność towarzyszy ci w tych czterech grobowych galeryach i sprawia, że bez wstępu myślisz o śmierci. Nie jest to miejsce, gdzie ziemia kości odrzuca, gdzie robak nad swoim dziełem pracuje; ta cudowna ziemia chroni ciało od zniewagi robaka, osłania się ona wspaniałym całunem trawnika i kwiatów, oprawiona w czyste i nadobne ramy białego marmuru; jestto ziemia sprowadzona z Jerozolimy na statkach krzyżowców, by uświęcić zwłoki starych rycerzy pizańskich; jestto łożo spoczynku ludzi silnego ramienia, co umarli w bogu, z mieczem w dłoni, z przepaską u biodra. Jakże jest słodki ten szmer roślin, co z świętego błonia dolatuje aż do nagich ścian galeryi! Rzekł byś, że to jest śpiew nucony przez cienie, hymn grobowy ułożony w języku, który tylko po śmierci umiemy. Niewiadomym tajemnic grobu, zamilowanym w pocieszających złudzeniach, co olśnią połyskiem materialnych przedmiotów rozłożonych przed okiem naszym, wydaje nam się, że i umierać jest ochotniej w pobliżu campo santo, aniżeli gdziekolwiek indziej na świe-

cie. W campo santo śmierć jest żyjąca, *mors viva*, jak jeden z starożytnych powiedział. Tam tylko ziemia prawdziwie jest lekka dla tych, których pokrywa. Jeżeli jaka myśl życia, jaka iskra ożywcza, unosi się nad zastygniętymi popiołami naszemi, campo santo niewysłowionem ulżeniem obdarzyć może ten cień, co ciało przeżywa. Nie dla przypodobania się żyjącym gieniusz religii i sztuki przystroił ten klasztor pośmiertny, artyści wyższego słuchali natchnienia; wieley mistrze zawsze jakieś posłannictwo niebieskie mają do spełnienia. Tutaj może im dano zlecenie upiększenia miejsca pokuty wszystkim, co tylko sztuki mają najtkliwszego, ażeby balsamem cierpliwości pokrzepić dusze oczekujące pod grobowym głazem spóźnionej chwili wyzwolenia, gdyż nie dla nas, którzy żyjemy, lecz dla nich ta cudowna budowa była utworzona. Dla nich marmur grecki w chrześcijańskie się kształty przyodział, dla nich Cimabue wynalazł malarstwo, tę sztukę niebiańską, co oddaniem życia i śmierci pociesza.—Przybył on z Konstantynopola, mistrz florentyński, i rzucił pierwszy rys campo santo, i nakreślił przedmowę tej ogromnej księgi, której każda karta jest odbiciem biblii. Potem nadszedł pasterz runem owcy okryty, dziecię z nad brzegów Arno, mesyasz sztuki włoskiej, Giotto, którego ręka tak wprawna, tak nadobne lica; cały szal pierwszego natchnienia cisnął w olbrzymie oblicze świętego klasztoru, podniósł pędzel swego mistrza Cimabue, i jak berło wslawionej dynastji przekazał go braciom Goddi, Orgagni, Szymonowi Memmi, Spinelowi z Arezzo, Benozzowi Gozzoli i Bufamalco, którzy z ewanelią w ręku przyszli odwzorować na murach wszystkie boskie przerośnię, wszystkie tajemnice wiary, wszystkie zwierzenia, jakie bóg czynił człowiekowi przez usta tych, co mówili w imieniu jego.

8

Słodkie niebo Pizy cię i światło klasztorowi rozdało
godnym ono było sprzymierzeńcem tych wielkich mistrzów!
Czyste, złocone, przezrocze odcienia rozbiegły się po mu-
rach, po łące i po korytarzach tak spokojnych, tak ci-
chych, nbarwionych różnorodnemi grobami. Takim
powinno było być campo santo, takie groby należały
wdowom i synom wojowników, co za święty grób Jero-
zolimy walczyli. Religija siostrą jest sztuki i zawsze jej
pomocną poddawała rękę. Gdy kościół upada w Bizan-
cym, religija wysyła Cimabue do campo santo; gdy się
wali tron Luzyniana, zwołuje ona potężną radę mistrzów
przy włoskich grobach rycerzy krzyżowych, a sztuka
wdzięczna pomściła religię za Mohameta II. i Saladyna
zwycięstwa.

Piza jestto miasto, którego po raz drugi nie należy
zwiedzać; ja pewno nigdy już tam w mem życiu nie wró-
cę; obawiam się uszkodzić najniezrównańsze wspomnienia,
skazić kwiat mych pierwszych wrażeń, oswojeniem się
przyjść do odczarowania. Artysta szybko powinien prze-
biedz campo santo, a potem żyć zdala od niego, jeżeli
tam umierać nie może. Natenczas to ulotne zjawisko
nakształt snu uroczego pozostaje wyryte w pamięci. W tem
promienistym ustroniu, gdzie w wspólnej myśli cztery gma-
chy religijne się łączą, niema co zgłębiać, niema co
niezapelnionych dziejów dopełniać w blahym celu świa-
towej nauki; widzieć, czuć i wyjść należy. Gruzy
długo zatrzymują podróżnika i przyzywają go znowu, za-
wsze jest co czytać w gruzach; każdy kamień walącego
się pomnika pelen jest myśli przed ludźmi ukrytych, któ-
rą każdy z osobna artysta z zapalem ducha zbiera;
lecz tu, przed kopułą Pizy — ani ruin, ani zepsucia; na
co spojrzysz, wszystko dyament i granit; nie masz rozpa-

dlin wieczno trwałej posadzie; wiatr morski zużył się na marmurowych węglach, na podwojach z brązu, pełnych pobożnych podań, symbolicznych zwierząt, cienistych gałęzi i ptaków. Wyniosła ta całość pierwszym rzutem oka dając się schwycić. Cztery pomniki naraz objawiają się oku w całej swojej majestatycznej i nienaruszonej trwałości. Żegnałem je z rękami złożonymi, ze łzą w oku, z myślą nieujrzenia ich już nigdy, i odtąd widzę je zawsze w mej duszy z dziewiczym wzruszeniem pierwszych odwiedzin. Gdy w wielkim grodzie, wilgotnym grobowcu żyjących, niebo jest smutne, dżdżyste, zinnem dojmujące, powracam myślą do owego campo santo, gdzie umarłym tak dobrze, gdzie murawa tak złocona, powiew południa tak świeży, marmur tak czysty, sztuka tak piękna. Widzę ogromną kopułę chrzcielnicy, co jak upadły planeta promienie słoneczne odbija, widzę promienną katedrę i kampanil, którego kolumnada od podstawy aż do szczytu się wzbija. Dokoła żadnego odgłosu, żadnego gwaru ludzkiego; jak na pustyni milczenie i cisza. Lud ze czci usiłował się na stronę, lud włoski zanadto jest lekki u stóp tych poważnych pomników. Stare mury Pizy zdala czernieją za niemi. Katolickie kolosy wzbijają się w obłoki, upokarzając ludzi i mieszkania ludzkie. Zawsze je widzieć będą takimi, jak mi się przedstawiały znikając przedemną w oddali. Przezroczysta mgła w kształcie lazuru i złota osnuwała je przed okiem mojem; powiewna murawa skłaniała się u ich podnóża, jak słodkie fale włoskiej zatoki. Na progu campo santo siedziała mała jasnowłosa dziewczyna, karmiąc trawą dwie kozy; smętnym głosem nucila ona arję toskańską, której przysłuchiwał się starzec na kiju oparty.

We Włoszech zapelnione jest życie, czas się nie wle-
cze leniwo; zawsze tam każdą dnia godzinę zamienić mo-
żna za coś, co warte jest godziny życia. I to nadaje te-
mu pięknemu krajowi powab, któregooby gdzie indziej ar-
tysta szukał na próżno. Tam wzruszenia tak są różnoro-
dne, że jednostajność uciechy nie może nigdy zastraszać—
rano campo santo, bal w wieczór.

II.

Lekki powóz unosił mię do Florencyi, którą opuściłem zrana; okiem mego ducha przebiegałem jeszcze muzeum campo santo, myślą zanurzałem się w życiu ś. Rajnera, patrona Pizy, tak pięknie skreślone m pędzlem Simona Memmi; marzyłem o śś. Efezie i Policie, ożywionych przez Spinela z miasta Arezzo; dumalem o nieszczęściach Joba, arcydziele wielkiego Gioto; o stworzeniu świata przez Bufalmaco; o portretach Medyceuszów, które Benozzo Gozzoli dziwacznie uczepił na piątrach wieży Babelu; o tryumfie śmierci, cudownym utworze Andrzeja Orgagna; o ofiarze Abrahama, dziele tego samego malarza, którego geniusz podał w zapomnienie zniewagę niegodnego jego przezwiska. Olśniony tyłą szczytnymi obrazami, wymalowanymi na biblijnej księdze campo santo, wybrnąłem dopiero z natłoku mych myśli wchodząc do pani Smith, majątnej Angielki, która dawała bal tego wieczora całemu pięknemu światu Florencyi.

Fortepian wygrywał kadryle paryzkie, Europa dostarczyła tancerzy. Niemcy, Anglia, Rosya, Polska, w jednym tańczyły salonie przy dźwięku melodyi *Pré aux Clevis*. Angielek największa była liczba na tym balu.

Zawsze tak jest we Włoszech. Nasi sąsiedzi wyspiarze słyną za miłośników swego zakątka, za lubowników domowej strzechy, utworzyli nawet słowo dla uświęcenia tego zamilowania domowego ogniska; przecież wszędzie ich zastać można po świecie, w własnym tylko domu wyjąwszy. Przebiegłem na prędce świetny salon, gdzie tańczyła Europa reprezentowana przez swoje kobiety i różnorodność języków, lecz ustrojona jednostajnie podług mód paryżkich. Ten bal chwilowem był tylko dla mnie zjawiskiem. W Florencyi spędza się wieczór na dwudziestu wieczorach; taki tam zwyczaj. Owego dnia koncert był u księcia Montfort, słynnego wygnańca. Pobiegłem do pałacu ulubionego brata cesarza. Noc była harmonijna i pogodna; zatrzymałem się, ażeby odetchnąć jej wonią na chwilę na placu tego pałacu oświeconego blaskiem uczty. Szerokie deski wystawy uginały się pod kolami i kopytami koni. Naprzeciw widzieć się dawał ogród milczący i smętny, pełen melancholii i cieniu. Myśl wygnania wypiętnowana była na tym ogrodzie tak cichym. Gmach cesarski złożył tam na chwilę swoje gorzkie wspomnienia, dojmujące boleści, ażeby trochę wrzawy, trochę radości zaszumieć, przyzywając boską muzykę na osłodę szlachetnym swoim wygnańcom.

Wygnanie gorzkie jest wszędzie. Jeżeli wygnaniec podróżuje, więzienie swoje z sobą unosi; jeżeli się gdzie zatrzyma na chwilę, braknie mu powietrza do tchnienia; najobszerniejszy widokraż dusi go jak obróż żelazna. Ojczyzna daleka jest widziadłem, które bez przestanku ściga wygnańca i smutkiem go otacza. Co ma obchodzić wygnańca, jeżeli ta ojczyzna jest dlań niewdzięczną? Ma ona dla niego powab, którego by na wszystkich tronach świata nie znalazł. Rzym wygnał Koriolana; dzieje nam

mówią, że zemsta pod mury Rzymu sprowadziła nieubłaganego wodza, ale dzieje się mylą, jak to się im zdarza częstokroć; nieprzeparta tęsknota wygnańca Koriolana uczyniła występnym. Jedna mu tylko otwarta zostawała droga, z bronią w ręku rzucił się na nią. Bez potrzeby matka jego Weturya błagała go o łaskę dla Rzymu; Koriolan nie przychodził zburzyć swoje miasto rodzinne, przychodził je tylko uściskać. Wszystko pozwolone być powinno dla wygnańca, co swoją ojczyznę pragnie odzyskać.

Wieleż imion potężnych, ileż wysokich przeznaczeń ponosić musiały męki wygnania! Rzeczy można, że taki jest los wszystkiego, co tylko kiedykolwiek było uwielbianem, popularnem, wielkiem. Każda stopa, pod którą świat się poruszał, wlokła się po kurzu wygnania; każdy głos, co oklaski ludów wywołał, na obcej dogasał ziemi, wzywając ojczyzny na próżno. Rzym wygnał z swych murów wszystkich wielkich ludzi, co go bronili; dla tego też Rzym sam jest dzisiaj wygnanym. Pozrywał on wszelkie związki ze światem, przeciął łańcuch dróg tryumfalnych, stoczył się na swoją płaszczyznę, szeroką pustynię bez ogrodów, żniw i uprawy. Niegdyś świat cały był ojczyzną Rzymu, dziś stolica świata jest zamknięta w swych murach.

Jednak jeszcze się do niej zwraca każdy, kto najwyższego doznał nieszczęścia. Król zrzucony z tronu spieszy szukać ulżenia u wielkiej wygnanki narodów; Rzym, który wygnał każde z wstawionych swych dzieci, z miłością garnie do swego łona wszystkich dostojnych wygnańców; posiada on tajemnicę słodzenia ich cierpień, — jak bazar leków otwiera im swój wielki relikwiarz zwalisk, umie przemawiać językiem pociechy, a jego

wzniosła cisza słodszy serce pokrzepia balsamem, aniżeli głuźący głos innej stolicy szalejącej uciechami i wrzawą.

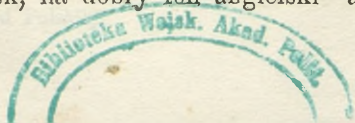
Wygnaniec, król wczorajszy, spoglądając na upadłą swoją koronę przywodzi na pamięć tę królową świata, i nową w sobie duszę stwarza, duszę do nieszczęścia lekszą. Wchodzi do Rzymu, jak do domu zdrowia szlachetnych chorych,— pomiędzy celą a pałacem, samotnemi i melancholicznemi zarówno, wybór robić może; znajdzie on tam patronów nieszczęścia po wszystkich szczytach kolumn, w cieniu każdego portyku, od góry Palatynu aż do Watykanu, spełniły się tam wszystkie rodzaje męczeństwa; cnota pogańska Lukrecyę i Wirginię na czele swoich świętych liczy, cnota stoicka szereg bohaterów przed oczy twoje stawi — cnota chrześcijańska całe ci niebo wymienia. Trudno wyrzec, co więcej wzniosłych nauk w sobie zawiera, czy dzieje, czy katakomby Rzymu?

Każda z bitew dawnych, Zamy, Farsalu, Akcyum, nigdy niewstrząsnęła posadą ziemi bez wyrzucenia świetnych szczątków w jaki zakątek Egiptu, Bitynii, Euksynu. Do przystani Bosforu lub na meotyckie bagna zawsze jakiś statek zawinął z rozgłośnem imieniem wychodźcy; natenczas pomiędzy barbarzyńcami rozchodzily się wieści, że dwaj przeciwnicy wiodą bój o jakieś państwo, i że gościnnością zwyciężonego należy obdarzyć. Dziś gdy marynarz Ostyi ujrzy całe rodziny smutne i poważne, zawijające do jego przystani, tej przystani starego grodu, gdzie wszyscy pielgrzymi przybywają z radością, — marynarz powiada sobie, że jakiś wielki loskot walących się tronów dał się zapewne słyszeć po tamtej stronie morza, i że Rzym ujrzy wkrótce nowych wygnańców szukających pocieszenia na jego łonie.

Tak i niefortunna bitwa pod Waterlo wyrzuciła na drogę Kasyusza całą rodzinę królowych i królów pielgrzymów. W wieczór tego dnia, gdy Rzym otworzył swoje bramy dla tych słynnych wychodźców, nie było dosyć okien na Corso, ażeby pomieścić ciekawych, przypatrujących się konwojowi tajemniczych powozów; imiona podróżników wymawiane były z cicha, na placach: hiszpańskim, weneckim i Kolonny kilka pałaców jak gospody otwarły swoje bramy dostojnym wychodźcom; Rzym, miasto pobłażające, szlachetna matka Konstantyna, przypomniał sobie Napoleona podnoszącego upadłe ołtarze, z miłością przygarnął na swoje łono blakającą się jego rodzinę, otoczył ją swoją słodką atmosferą, swoim klimatem, co utrwala i przedłuża życie,—gdy tymczasem on, wielki wygnaniec Europy, szedł umierać na tej wyspie, co nosi imie matki Konstantyna, lecz pożera i zabija, jak Tauryda i Barka.

Tam upłynęły pierwsze, najdłuższe lata wygnania, potem cesarscy wychodnie rozpięchli się, dzięki fatalności czasów. W Rzymie pozostała tylko stara matka Napoleona, Fesch, jeden z książąt kościoła, człowiek rozumu i nauki, lubiący Rzym jako karmicielkę religii i sztuk pięknych—Lucyan, starożytny filozof, zawsze o tron mało dbały i upodobaniem złączony z grodem, w którym każdy kamień połyska imieniem bohatera lub mędrca.

W Florencyi, tem mieście koncertów i balów wymieniają szczególnie ucztę dawane przez księcia Montfort w pięknym jego pałacu Orlandini; są to rozkoszne wieczory wybornie urządzone, gdzie natłok nigdzie uciechy nie psuje, wchodzi się tam i wychodzi nie utraciwszy ani na chwilę swobodnego ruchu, każdy zaproszony może mniemać, że zajmuje miejsce honorowe; gospodarz nie rachował na ścisk, na dobry ton angielski—a jednak



każdy nazajutrz opowiada drugiemu, że cała Florencyą była wczoraj u księcia Montfort. To prawda, że tam tylko znaleźć można ten przyjemny podział salonów i galeryi, bez którego niemasz uczyt prawdziwej. Wszystkie pałace florenckie dla koncertów i balów zbudowane były jedynie; swobodnie się tam oddycha, tłumy wdzięcznym kręgiem się wija, muzyka wydaje się harmonijniejsza, aniżeli gdziekolwiek indziej, dźwięk się tylko o marmur, o wyniosłe sklepienia odbija.

Książę Montfort zaprasza na swoje wieczory cudzoziemców przybyłych do Florencyi, lecz przed wszystkimi Francuzów; w swoim rozdziale grzeczności panowie pałacu Orlandini najlepszą częścią obdarzają swych ziomków. Nikt się jednak temu nie dziwi, nikt się tem nie uraża; cała majętna i podróżująca arystokracja Europy do księcia Montfort się ciśnie. Ciekawa to jest rzecz widzieć tę mieszaninę nieprzyjaźnych sobie od niedawna narodów, a dziś w salonie cesarskiego brata reprezentowanych przez ucieszne grona, tańczące przy fortepianie kontredanse Zampa, walce Webera, mazurki warszawskie. Pokój lub oświata cudowne sprawiają zbliżenia się, u hrabiny Lipona widziałem rozmawiających z sobą poufale admirała rosyjskiego Czyczagowa, wysyłanego niegdyś przez Aleksandra dla przecięcia odwrotu z Berezyny, i wsławionego i walecznego jenerała polskiego Wąsowicza, co razem na jednych saniach siedział z Napoleonem przy powrocie z Moskwy.

Nie wiem, jak korny wzrót stylowi memu nadać, ażeby się wcisnąć na widownię po tych wielkich imionach. Wspomnienia Florencyi tak są jeszcze splątane w mej głowie, iż jak nieład snu się wydają. Zresztą wolę raczej bez ładu przejść od jednego do drugiego imienia,

niżeli moje błakające się myśli poddać pod prawidła systematycznego porządku. Otóż więc, ja Francuz nieznany, ja pielgrzym rzymski, jednego marcowego wieczora ujrzałem się w pałacu Orlandini. Słyszę wymawiane na około siebie imiona o harmonijnem i poetycznem brzmieniu, imiona Gibelinów i Gwelfów, noszone dzisiaj przez młodych panów szczerze połączonych z sobą. Z tyłu krwawych nieprzyjaźni, z tyłu nienawiści różnorodnością stronnictw wzniecanych, dziś w Florencyi tylko te dwa słowa pozostały *Via Ghibelina*, wyryte na rogu skromnej ulicy; to w mem sercu wzbudza jakąś nadzieję dla Francyi. Tak więc widziałem przybywające młode i jasnowłose Polki, przychodzące odetchnąć na chwilę powietrzem francuzkiego salonu; z jakąż interesownością wszystkie spojrzenia zwracały się na te kobiety, których mężowie i bracia mieli jeszcze lica spalone prochem Warszawy! W ich gronie jak dyament jaśniała młoda księżniczka Matylda, siostrzenica cesarza. Wszystkie oczy zwrócone były na hrabinę Camerata, córkę księcia Bacciochi; ma ona spojrzenie, twarz, ogień Napoleona; opowiadano jej rycerską przygodę w Wiedniu, gdy usiłowała uprowadzić z Szenbrunu nieszczęśliwego księcia Reichstadt. Wymieniono jeszcze margrabinę Gipina-Corsi, margrabinę del Bagno, uosobioną Florencyę, margrabinę Ginoni, księżnę Galicyń słynącą rozumem, hrabinę Zamojską, hrabinę Strizońską, (?) księżnę Lubomirską, hrabinę Mozzi, margrabinę Furinola-Gentile, hrabinę Nenciri, hrabinę Aldobrandini, księżnę Poniatowską, pokrewnę bohatera, co utonął w Elstrze, panią Monte-Catini, jej pasierbicę, która przychodziła swego uwielbienia godnego talentu artystki udzielić koncertowi księcia Montfort.

Damy francuzkie przybywały także przyjmowane przez księżnę Montfort, Francuzkę duchem i sercem. Między niemi odznaczała się pani Gaetan Murat, nosząca imię bohaterskiej i królewskiej pamięci; rzekłbyś, że przychodzi reprezentować pełne wdzięki kobiety świata paryzkiego na dworze pięknej płci Florencyi. Lubilem śledzić okiem napoleońską głowę księcia Montfort, z ugrzeczniem sklaniającą się przed damami. W pośród tego ómiącego blasku światła, dyamentów, kwiatów, rozdzierając wspomnienie nasuwało mi ów dzień, w którym król Westfalii nacierał pod Waterloo i z szablą w ręku przebijal linię angielską. W tej chwili raczył przybliżyć się do mnie i przemówić grzecznie — a ja, co go jeszcze pod Waterloo widziałem, ośmieliłem się wśród blasku uczyty o Waterloo mu wspomnieć; w kilku wyrazach pełnych ścisłości i ognia wielką mi bitwę opisał, łza w jego oku zabłysła, a moje usta ze zbytku wzruszenia nie mogły podziękowania wyjąkać.

Była to godzina potężna urokiem, fortepian dźwięczał pod zręcznemi palcami kawalera Sampieri, weszła pani Persiani, ta melodyjna gwiazda, co zabłysła nad Arnem, przybywała jaśniejąca tryumfami Pergoli w towarzystwie swego ojca Tachinarti, którego salony teatrowi wydaryły. Przy fortepianie zasiadła pani Degli-Antoni; grono lubowników i młodych dam Florencyi zmieszało się z artystami, gdyż wszelka społeczęńska różnica zniknąć musi w pobratymczej wspólności talentów i sztuk pięknych. Obszerny salon koncertowy miał miejsce dla każdego gościa. Gdyśmy spojrzeniem cześci pozdrowili obraz pędzla Grosa, Dawida, Gérarda, Girodeta, Werneta, popiersia Bosia, Bertoliniego, Kanowy, przedstawiające rodzinę cesarza, wielkie nastąpiło milczenie.

Nie był to jeden z owych koncertów miejskich, jakie często zastaje się w salonach, jeden z tych koncertów tak zastraszających zimnem i niezręcznością wykonania, przykładkiwanych z grzecznym zapalem. Tam zgromadzili się wszyscy, którzy śpiewają w tej harmonijnej Florencyi, co śpiewa tak dobrze. Był to wybór miłośników i artystów, pierwsi na równi z drugimi, rzecz rzadka! Ten koncert włoski otworzył się arją francuzką *Irabia Ory*, myśl programu podobala się wszystkim. Potem rozwinął się czarowny szereg aryj, pełnych wziętości; owa śpiewka Rozmondy, co każdego wieczora skłaniała głowę Persiani przed dwudziestą salwami oklasków — i aria *Casta Diva*, i inne śpiewy z Normy, które we Włoszech na wszystkich się ustach znajdują; z tej opery, która cię od pierwszej nuty unosi i długo umysł dźwiękiem swym kołysze, potem cię cudownem Trio przebudza i łyzy rozczulenia wyciska w ostatnich swych scenach, najtkliwszych, jakie kiedy głos kobiety nucił a wspierała orkiestra jękiem wszystkich instrumentów swoich. Nie zapomnę nigdy młodego jednego opata, który męzkim i mocnym głosem, godnym pierwszego lirycznego teatru, odśpiewał ustęp z *Włoszki w Algierze*. Był to duchowny miłośnik obdarzony piękną organizaeyą do muzyki światowej. Szlachetna tolerancya toskańskiego duchowieństwa niegorszy się tym zapędem artystowskim w mieście, gdzie sztuki mają swoją świętość, gdzie nuta wszystko oczyszcza. Jestto wyborne duchowieństwo! Raz poszedłem do kościoła Santa Maria Novella, a gdy obawiałem się przybliżyć do kaplicy malowanej przez Orgagna, ponieważ odprawiano mszę świętą, dobry jeden zakonnik odgadłszy powody mego wahania rzekł mi z uśmiechem: Przybliżyć się pan i bez obawy przypatruj się naszym pięknym ma-

lowidłom; jesteś tu swobodny jakby u siebie. — Takie jest życie w Florencyi! Z scen piekielnych Danta przetłumaczonych pędzłem Orgagna, z campo santo Pizy, spadłem na komiczny duet Włoszki. Jednego dnia hymn zakonników w Santa Maria Novella, nazajutrz arye Rossiniego, Donizetego. Pani Degli-Antoni, piękna śpiewaczka o kruczycy włosach, pierwszy krok robiła, że tak rzekę, w francuzkim salonie Florencyi, ażeby wziąć się w odwagę i rozpęd, którą roztwierają Fawart, ten raj artysty. Tachinardi, oddawna niesłyszany w teatrze, swoim czarownym głosem pozdrowił głośny salon księcia Montfort; ilaż oklaskami obsypały go ręce, co władady orężem za czasów sławy cesarskiej! I noc ciągnęła się tym sposobem unosząc z sobą wzruszenia, jakimi przejmują wielkie imiona, piękne wspomnienia, połączone z wdziękiem muzyki i śpiewu. Schwyciłem tam w przelocie owych kilka godzin upojenia, co wybijają niekiedy na ziemi włoskiej dla wędrownego przechodnia; godziny rzadkie, w których wonie, sława, kobiety, sztuki, harmonija, wszystko, co radością serce człowieka napęlić jest zdolne, w promienną całość się wiążę, ażeby przekonać, że jeszcze jest szczęście na ziemi!

Przypominam sobie, że po tym wieczorze z głową napęlnioną Normą, Sonambulą, Piratem, wzrokiem olśnionym blaskiem światel, obrazów, kobiet i tylu historycznych postaci, co jak cienie wieku zmarłego przesunęły się przedemną — pobiegłem wytchnąć na placu starego pałacu. Noc była ciemna. Dochodził mnie tylko turkot powozów toczących się po płytach jak stal gładkich. Druga godzina poranna wypisana była czerwoną barwą na zegarze starego pałacu — owego starego olbrzyma maurytańskiego, co za napierśnik herb andegaweńskiego domu

a wieżę za helm nosi. Nie bardziej nie mogło być sprzecznem z uczcą, z której wyszedłem. Gmach rozścielał po placu swój cień olbrzymi. Kolosalne posągi Jana z Bolonii, Benvenuto Celini, Donatelo, Michała Anioła, wszystkie te marmurowe lub miedziane olbrzymy, ogniem gwiazd oświecone ponuro, wydawały się jak wielkie postacie wojowników średniego wieku, dumających na publicznym placu o jutrzejszym spisku. Wyszedłem z jednego marzenia, ażeby w drugie zapaść; potrzeba snu uczuwać mi się dawała, i jak ślepy blakając się szukałem mego mieszkania. Tysiące obrazów przesuwano się przed oczyma mojemu, wszystko plątało się w mej głowie ciężkiej bezsennością i wzruszeniem, wszystko bezładnie snuło się przedemną — Dant, Medyceusze, Gioto, Napoleon, Michał Anioł, Warszawa, wodzowie polscy i młody syn Hieronima, to szlachetne dziecię, co na twarzy portret cesarza nosi, ta galerya obrazów przesuwano się przedemną przy dźwięku narzekań Normy, wpośród podwójnego rzędu kobiet, strojnych wdziękami włoskimi i imiony harmonijnymi, jak dźwięk głosu Persiani. Zatopiony w powabie tego czarodziejskiego zjawiska blakałem się po Florencyi, ani na ulicę ani na godziny nie zważając. Gdy jutrzeńka zaszarzała nad krzyżem katedry, od mego prozaičnego łóżka i rzeczywistości snu mieszczańskiego byłem jeszcze daleko; usiadłem obok kamienia Danta, Sasso di Dante, i duszą przysłuchiwałem się jeszcze graniu kawalera Sampiersi, głosowi Persiani, słowom księcia Montfort, co mi o Waterlo opowiadał.

Słońce zaszło dla mnie z poza kościoła katedry — marmurowej góry okrytej rzeźbami; w dzień jest ona jaśniejsza jak kopalnia drogich kamieni — w nocy ponura jak szczyt Apeninów. Kolosalne posągi Arnolfa i Bru-

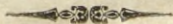
neleschi wyglądały w swoich framugach jak cienie dwóch budowniczych; rzekłbyś, że dopiero wychodzą z grobu, ażeby się swemu cudownemu gmachowi przypatrzeć. Każdy kamień przez człowieka wzniesiony upaść musi na powrót na ziemię — ale katedra Arnolfa pozostanie w obłokach i jest to świątynia, w której ostatni człowiek, nim się uda na dolinę Jozafata, ostatni hymn odśpiewa. Miał słuszną Michał Anioł, gdy do niej przemówił: Wystawię ci w Rzymie siostrę, która będzie większą, ale nie piękniejszą. Bazylika ś. Piotra już zaskrzypiała w swojej posadzie, kopuła jej marszczy się i pochylila jak starzec; szukaj rozpadlin po katedrze florenckiej! wieki po jednym odszczepiać będą ogniwa jej marmurowego kirysa — ale ciało tego olbrzym drwi z przewagi wieków. Nadzieje łupieżcy nie znajdują nic w jej majestatycznym obwodzie, co gmachy na rabunek i pożar wydaje; tam nie masz złota do stopienia, marmuru czystego na pastwę chciwości i szalonej dumie zdobyczej; kamienie są nagie, mur surowy, bruk ostry — groby za całą ozdobę. Z dwóch stron świątyni olbrzymie łuki do sklepienia się wzbijają, jak gdyby je dla swobodnego zstąpienia boga wzniesiono.

Ten kościół potrzebował godnej siebie dzwonnicy, Gioto wystawienia jej dostał rozkaz; Gioto nie umiał naśladować, poczuł w sobie myśl wzniosłą i tę myśl przełożył na marmur; wyhaftował ją jak zasłonę królowej, wzbil w niebo do wysokości przechodzącej moc ludzką. Cudem Włoch jest ta wieża Giota, jestto klejnot na 300 stóp rozciągly, klejnot obrobiony, jaśniejący, promienny, z połyskiem rubinu, topazu, szmaragdu. Nic się nie może oprzeć przywoływaniu chrześcijańskiego dzwonu, co się odzywa z tej wieży — instrumentowi harmonijnemu, gdzie młot miedziany spada na marmurowe wie-

ko i zdaje się ogłaszać Florencyji nieśmiertelne imię mistrza, co cud ten z nicości wydobył.

Jak w Pizie — przed kościołem wznosi się chrzcielnica. Podwoje tej chrzcielnicy piękne są, powiadają, jak podwoje rajy. Malując na bronzie Ghiberti je wystawił, jeżeli to prawda, że są dziełem człowieka. Czwartej budowy brakuje, brakuje campo santo. Florencya, miasto uciechy, tego grobowego uzupełnienia symbolicznego budownictwa nie chciała pożyczyć od siostry swej Pizy. Zanadto ona jest młoda i zanadto piękna, ażeby myśleć o śmierci. Dzwon marmurowej wieży, święte hymny katedry, modły nowowierca w chrzcielnicy, wszystko to cudownie się zgadza z uctami, balami, koncertami Florencyji, lecz posępnej nuty Requiem nieprzyjmuje ona do swojej orkiestry; zdala od siebie odsuwa wszystkie obrazy, co smutkiem obciążają seree, zarzucają krepową osłonę na atłasy gyneceum, wstrzymują ezarę przy ustach szczęśliwego biesiadnika. Florencya jest miasto bez zwalisk; wszystko, co utworzyła, całym jeszcze blaskiem jaśnieje, nic w niej o zniszczeniu nie mówi, stare jej pomniki szczyptą kurzu nie rzuciły na bruki placów, jej wiekowe posągi przetrwały burze domowe, nie utraciwszy ani jednego z swych włosów z marmuru lub bronzu, jej pałace najeżają się u podstawy dyamentowaną posadą, którą dają na pastwę dla niszczyiciela czasu. Czterdzieści wieków ciężyc jeszcze będzie nad temi bryłami, nim do wnętrza pałacu dojdą—Piti, Ricardi, Strozzi przygotowali gospody dla ostatnich pielgrzymów świata. To jest prawdziwie miasto niedbałości szczęśliwej, co tylko samą radość i uciechy życia przyjmuje, co cyprysów obok róż nie zasadza, i po jednej, jak kwiaty, zrywa swoje godziny. Pomiędzy chrzcielnicą i campo santo cały obszar

szczęścia się ciągnie — szczęścia cichego, pogodnego, kwiecistego, jak florencka łąka. To życie przeplecione uciechami i religiją pomiędzy temi dwoma pomnikami się mieści; ale ani chrzcielnica, ani campo santo, niewzniecają pogardy uciech ziemskich i obawy śmierci. Rodzące się dziecię nie przyjmuje surowych chrztu przysięg, a człowiek, który umiera, sądzi, że zasypia tylko. W Pizie i Florencyi wszystko obraz życia przedstawia, nie tam nie przedstawia śmierci — ani grób nawet.



10000/1



